



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Gospodarze mają w sezonie ogórkowym minę kwaśniejszą od korniszonów marynowanych w najcieńszym occie siedmiu złodziei, i dziwić się temu nie można. Właśnie na czas sianokosów i żniwa przypadła wielka symfonia deszczowa, którą niebo istny koncert dawało przez kilka ubiegłych tygodni.

W górach spadły śniegi, w Szkocyi istna zima wróciła, na południu burze wicherzyły: Lipiec podobniejszym był do Listopada, niż do siebie samego; u nas wydobywano zimowe paltoty w dzień i kurczono się pod ciepłą kołdrą w nocy, a na willegiaturach wilgoć przejmowała do kości.

Trudno było dokuczyć bardziej, niż zepsuć ludziom w ten sposób lato; boję się pisać o tym temacie, bo z pogodą, jak z bólem zęba.

Człowiek zaczyna utyskiwać, gdy ból już przeszedł, na to, co wycierpiał: i ból wraca nanowo.

Dopiero-co wypogodziło się nieco i przetarło, chociaż meteorolog *Kuryera porannego* nie przestaje straszyć ludzi przepowiednią dni dżdżystych; bez ustanku, jak Baltazarowe głoski, zjawia się przestroga o „letniem palcie, parasolu i kaloszach,” — nie budźmyż licha, skoro usnęło.

„Królu, Boże Abrahama,” nie spuszczaaj więcej deszczu na rolę, bo sobie gospodarze palce w stawach powylamują i zboże porośnie, a tego chleba i tak mało dla wszystkich, i dla tych, którzy go jedzą przy pieczeniu, i dla tych, którym na sól do niego nie starczy.

Warszawa tak zgłuchła i opustoszała, że prawie słysząc w niej było, jak na willegiaturach okolicznych ziewają i jak ekonomowie śpią piórunami, spoglądając w niebo z pytaniem: „Kiedy też to bestyjstwo lać przestanie?...“

Gdyby nie kopano kanałów i temi ogromnemi kretowiskami nie ryto główniejszych ulic, nie byłoby na co patrzeć: konie w tramwajach mają zaspane miny z nudów, a co dopiero ludzie zmuszeni dreptać jednym szlakiem po bładym bruku, który nadaje Warszawie jakiejś melancholijnej i anemicznej fiziognomii w tym czasie!

Cisza, senność, apatya; nawet psy się nie wściekają, bo i kanikuła jest tylko tytułarną.

Europa także zapadła w drzemkę, dyplomacya płucze się na wodach, polityka bagnetami zaczęła pończochę robić, dzienniki tak puste, że można przez nie mąkę siać; gdyby nie kilka sensacyjnych wypadków, jak pojedynek Floqueta z Boulangerem, albo rozwód królowej Natalii, albo polemika d-ra Ochrowicza z lekarzami warszawskimi, można by sobie szczęki od ziewania wywchnąć.

Boulangerowi szpada jego przeciwnika w gardle stanęła, ale ją szczęśliwie wykrztusił i gotów znowu połykać ministrów i senatorów jednego po drugim.

Ten wypadek skrzyżowania broni przez generała francuzkiego z prezesem francuzkiego gabinetu dał u nas powód do poruszenia w pismach kwestyi pojedynekowej. Dziwna jest ta opinia publiczna! nie umie być konsekwentną: raz pojedynek potępia, drugi raz za wzór je stawia. Są one, co prawda, *malum necessarium* w pewnych wypadkach, kiedy tak zwane sprawy honorowe nie dają się inaczej załatwić.

Rozumiem, że można się różnić w poglądach na szukanie satysfakcyi z bronią w ręku, ale trudniej mi zrozumieć, jak można odmówić wyzwanu i nie stanąć, kiedy przeciwnik tego wymaga i za punkt honoru uważa sobie taką rozprawę.

Zdaje mi się, że położona tu zasada: „Nie wyzywam, ale biję się wyzwany”, byłaby bardziej przekonującą o odwadze i poczuciu honoru pewnych ludzi, którzy trzymają się wygodnej i bez-

piecznej krańcowości, aniżeli wymówka: „nie biję się wcale, dla zasady.”

Kij wówczas zastępuje szpadę, rewolwer, pistolet, stróż albo stójkowy—sekundanta i kronika wypadków zmniejsza się o jedną rozprawę honorową, a kronika skandaliczna notuje jeden więcej fakt burdy ulicznej.

Jest to zresztą kwestya temperamentu i poglądów.

Wśród ciszy i zastoju letniego sezonu na ziemi, duch wojowniczy, który straszył doniedawna zwolenników pokoju, przeniósł się na szlaki powietrzne.

Na półwyspie bałkańskim przyszło do krwawej walki, o której raport urzędowy prefekt miasta Tirnowy złożył wyższym władzom w Sofi. Oto dwa skrzydlate hufce starły się z sobą i były się całą godzinę, a potem w dwie przeciwnie strony się rozleciały, zostawiwszy na placu mnóstwo rannych i trupów.

Jeden hufiec był czarny, drugi biały, w jednym walczyło około 200 orłów, w drugim około 300 bocianów.

Działo się to w zeszłym tygodniu ponad szczytami gór Jantra, a raport pana prefekta z Tyrnowy powiada, że wczesnym rankiem korpus orłów przyleciał od wschodu na plac spotkania i kracząc przeraźliwie krążył w powietrzu, w kilka godzin później z północno-wschodniej strony nadciągnęła hussarya bocianów i skierowała się wprost ku przeciwnikom.

Przez chwilę zdawało się, że obie armie zawieszono nieruchomie w powietrzu badają swoje stanowiska i siły, aż nagle z ogłuszającym krakaniem i klekotem rzuciły się ku sobie i rozpoczęły straszliwy bój; trzecia część walczących na dzioby poległa na polu walki.

Takim jest opis tej ptasiej wojny, której przypatrywać się miał tłum ludzi, według zapewnień urzędowych pana prefekta z Tyrnowy.

Obawiam się, aby te orły i bociany, przy bliż-

szem obejrzeniu nie okazały się z rodu kaczek, i to nie dzikich wcale; z faktu, jeśli się zdarzył w rzeczywistości, urosnie może kiedyś poetyczna legenda, którą Bulgarów zachęcać będą do walki, nie bowiem marnie w naturze nie ginie, nawet pióra wyskubane orłom i bocianom, nawet kaczki dziennikarskie, nawet rapporta prefektów.

Rozwierają się tylko lżej od kaczego puchu najpoważniejsze projekta nasze, gdy w nie złośliwy wiatr rozmaitych stroniczych waśni dmucha.

Ja nie chcę powiedzieć, co mam w tej chwili na myśli, ale opowiem wam coś zbliżonego.

Na placu Karuzelu w Luwrze paryżkim 13-go b. m., uroczyste odsłonięto wspaniały pomnik (i wyobraźcie sobie: konkursowy!) dla Leona Gambetty; wysoki jak siedmiopiętrowa kamienica, z kamienia i brązu, z demokracją jadącą na koniu skrzydlatym u szczytu, z licznymi figurami i napisami, a wszystko to razem za 350.000 franków, które zebrano w ciągu nie pełna trzech lat po śmierci dyktatora.

Przed dwoma laty zabrano się do wykonania projektu, który był dziełem architektury i rzeźbiarstwa, przed dwoma niespełna tygodniami cały pomnik stanął gotowusienki.

Ja nie mówię, do nikogo nie przypijam, niczego nie wytykam, tylko przytaczam fakt i najważniejsze jego szczegóły.

A że dotknąłem sztuki, więc skręcam na miejscu w bok i wstępuję do Salonu naszego na wystawę obrazów przy Krakowskim-Przedmieściu, gdzie obecnie tryumfuje pędzel Alexandra Gierymskiego i gdzie najnowsze dzieło tego niepospolitego malarza: „Żydzi modlący się nad Wisłą w święto Trąbek“, uznane za arcydzieło plastyki i kolorytu, zachwyca znawców i miłośników sztuki.

Wistocie, dzieło znakomite w swoim rodzaju!

Treść jego bardzo pospolita, nie wyszukana, zabrana z przed oczu tysięcy ludzi, którzy kiedykolwiek przechodzili wiślanym brzegiem na Rybakach ku cytadeli i mostowi kolejowemu.

Artysta wziął pejzaż tak dobrze znany każdemu Warszawiakowi, wybrał chwilę po zachodzie słońca w pogodny, letni wieczór, kiedy-to niebo rzuca jeszcze złote plamy na wodę, a za chwilę zasunąć się ma mrokiem; na rzece stoją ładowne berlinki, tratwy i łodzie, na piaszczystym brzegu widać trochę murawy, grupę drzew, domowstwa ubogie, w głębi stoki cytadeli i most żelazny z pociągami zdążającym ku stacyi.

Na brzegu stoi ze dwudziestu żydów, zwyczajnych sobie chałaciarzy, w czapkach, brodatych i obdartych, jedni trzymają w ręku książki, drudzy mają tylko ręce rozłożone i zwrócenie ku wschodowi modlą się.

Z boku przy ognisku kilku flisaków; jeden zajęty koło ognia, drugi gra na harmonijce ręcznej.

Na dalszym planie, pod domowstwem widać w perspektywnym pomniejszeniu grupę kobiet. Oto wszystko.

A teraz stanicie i zaczniacie się temu wszystkiemu przyglądać, a z podziwu nie wstydzicie się nawet ust otworzyć.

Co za realizm, co za plastyka, co za prawda w najdrobniejszym szczególe!... zdaje się wam, że przez odwrotną stronę lornetki teatralnej patrzycie na żywą naturę, albo na obrazek w stereoskopie.

Każda figurka stoi tak od tła odkrojona, że możnaby ją niemal palcem objąć, a każda wykończona, pełna charakterystyki i życia.

Gdyby się nagle ci rozmodleni żydzi kiwać zaczęli i poruszać, nie byłoby to niespodzianką; im dłużej się oko w ten obraz wpatruje, tem bardziej człowiek się dziwi, że to wszystko stoi nieruchome na miejscu.

Zdaje się, że gdybyś głośno przed tym obrazem zawołał: „Handell!... licytacja!“ Każda z brodatych figur drgnie nagle, podniesie głowę i odwróci się ku tobie z zapytaniem:

— Jest co do sprzedania?...

Jeden szczegół psuje mi tylko doskonałość złudzenia, szczegół drobny, nawet dość banalny w obrazie takiego artysty, jak Gierymski; jest

nim ta dymiąca lokomotywa, za którą ciągnie się szereg wagonów. Ona niepotrzebna na tym moście, bo jej ruch zatrzymany, przywodzi mnie do przytomności i przypomina, że ta Wisła, z przepyszną grą światła i odbiciem złotawego nieba, te berlinki u brzegu, tratwy zbita z belek drzewa, na którym niemal wszystkie sęki i słoje znać zdaleka, ta łódź tanim lakierem na czerwono i niebiesko przeciągnięta, ten piasek ze sładami nóg ludzkich, tak sypki, że powinien się w nim dołek utworzyć pod dmuchnięciem wiatru, wreszcie każda z tych stojących zatopionych w modlitwie postaci—jest tylko cudem sztuki, tylko malowidłem, tylko utworem pędzla, farb i mistrzowskiej ręki.

Wszystko tu tak przypomina naturę, żywcem prawie przeniesioną na płótno, że ten pociąg powinienby chyżo mknąć po moście kolejowym, tembardziej, że on jeden przedstawiony jest w ruchu, kiedy wszystko inne stoi spokojnie.

I flisaka, grającego na harmonii przy samej ramie z lewej strony chciałoby się spędzić z obrazu; gruba natura w tym Walu czy Kubie, skoro nie umie uszanować poważnej chwili i krakowiakiem akkompaniuje modlitwom zatopionych w pietyzmie synów Izraela.

Zresztą, wszystko przewyborne; nic dziwnego, iż krytyka ten obraz nazwała arcydziełem w swoim rodzaju.

I byłoby też wszystko w porządku, gdyby z powodu „Trąbek“ nie uderzono niepotrzebnie w trąbę przesady krytycznej, gdyby nie podniesiono kwestyi innych rodzajów w sztuce.

Najpocziwszy i najoryginalniejszy z kolegów, Prus, który musi mieć zawsze zdanie odrębne od całego świata, poświęcił całą kronikę tygodniową w *Codziennym* Gierymskiemu, aby przy sposobności potępić w czambuł całe malarstwo historyczne. Znakomity nasz humorysta całkiem poważnie utrzymuje, że wszystkie „Grunwaldy“, „Świeczniki“, „Sejmy“, etc., które sztuka polska się chlubi, nie mają racji bytu, są malowaną fantasmagorią, urojeniem artystów, że w nich nie może być prawdy i natury. Prus nie uznaje i nie lubi tematów historycznych ani w obrazach, ani na scenie, ani w powieści; w sztuce nawet mu wcale o temat nie chodzi, byle obraz najbardziej zbliżał się do prawdy i natury, byle był jak najwierniejszym jej odbiciem i na płótnie dwuwymiarowym, ludzaco przedstawiał trzywymiarowe bryły.

Niczego więcej nie wymaga geometrya wykreslna, która przecież sztuką nie jest, tylko jej pomocnicą.

Jeden z malarzy, p. Julian Maszyński bardzo trafniemi argumentami odpowiedział Prusowi, określając jego poglądy estetyczne na malarstwo w ten sposób: ponieważ od dobrego obrazu niczego więcej nie należy wymagać, oprócz poprawnego rysunku i barw, odpowiadających kolorystowi rzeczywistości, a zatem ideałem sztuki będzie aparat fotograficzny, który przy użyciu chemicznych środków zdejmować potrafi kolorowane klisze z natury.

Być może, że Prusowi wystarczyłoby to na pewien przeciąg czasu, ale kto wie, czy opatrzywszy się z temi doskonale malowanymi „bryłami“, nie zapragnąłby w końcu, aby obraz martwy „przemówił“ do niego, nietylko językiem codziennej powszedniości, ale jakąś wznioślejszą myślą, któraby nie w samych oczach widza się zatrzymywała, lecz trafiła przez nie do duszy i możeby wówczas zrehabilitował w swojej opinii Rafaelów, Tycjanów, Buonarottich i pogodził się z Matejką, Siemiradzkim, *et consortes*.

Ideałem techniki malarskiej, niezaprzeczenie, będzie możliwa doskonałość formy, wierność w odtwarzaniu natury, kształtów, barw, perspektywy, ale na tym ideale artyzm i geniusz twórczy poprzestać nie mogą.

Sztukę Starożytni nie darmo nazywali „córą bogów“, ona musi dążyć ku wyżynom; nie wolno jej wyrzekać się fantazyi i skrzydeł natchnienia, poezyi, piękna duchowego poza pięknem materialnem, nie może być jej celem tylko—malowanie natury.

Prus nie chce rozumieć zadania malarstwa historycznego, zapoznaje jego rolę, wpływy i zna-

czenie u nas; dla niego obraz historyczny to tylko pewna grupa figur w staroświeckich kostiumach i rynsztunkach, to niepotrzebne studyowanie spleśniałej „garderoby“ i zardzewiałego żelazta po zbrojowniach. On ma przytem uprzedzenie, że obraz historyczny musi być źle malowany, musi w nim braknąć powietrza, perspektywy, poprawności rysunku, kolorytu.

Rozumie się, najpiękniejsza idea, najwznioślejszy pomysł, najpoetyczniejszy temat, mniejsza o to historyczny, czy nie historyczny—bez tych warunków będzie tylko mazanią, partactwem niegodnem nazwy dzieła sztuki.

Pod tym względem nie uratuje go żadna „duchowość“, ach, ileż razy sam śmiałem się z tragicznych momentów dziejowych, które z wielką pretensją rysowali i malowali wszystkimi barwami tęczy... Matejkowie *minorum gentium*!

Widziałem już na dużych obrazach i królów, i królowe, i rycerzy, i kawalerów na koniach, tak płaskich, że ich można było ztasować, jak talią kart, które za służywały, aby je zawiesić... w jarmarcznych panoramach, ale temu ani temata historyczne, ani sztuka nie były winne, tylko nieudolność artystów, przypisujących sobie zarozumiałe talent.

I naodwrot, patrzałem na małe, szare obrazki, kredką robione, w których może nawet nie jeden szczegół był nie najlepiej wyrysowany, a łzami zachodziły mi oczy, w gardle coś dawało, serce żywszem tętnem uderzało i byłem gotów rzucić się na szyję pierwszemu lepszemu, który stał obok mnie w zadumie i płakać na jego ramieniu...

Wszystko to mi nie przeszkadza, abym nie podziwiał „Modlących się żydów“ Gierymskiego i nie czuł wielkiego uznania dla jego talentu, który do pierwszorzędných nie tylko u nas należy, jak nie przeszkadza znów, aby przy Gierymskim byli jeszcze inni wielcy artyści w swoim własnym rodzaju, którzy inaczej zapatrują się na cel w sztuce i tworzą według własnego swojego natchnienia.

Wyłączności i uprzywilejowanych rodzajów niema i być nie powinno; w każdym można doprowadzić sztukę do mistrzostwa, jeżeli się ma geniusz albo talent prawdziwy a pracować chce i umie.

Zatrzymałem się dłużej nieco przy obrazie Gierymskiego, bo on stanowi obecnie kwestyą dnia i jest przedmiotem estetycznych rozpraw. Na porządku dziennym mamy także przeróbkę przepięknej nowelli Sienkiewicza: „Szkice węglem“, wystawionej poraz pierwszy zeszłej soboty na ogródkowej scenie Wodewillu przez trupę pana Texla.

Przeróbki dokonała doświadczona spółka p. Mellerowej z p. Galasiewiczem; tytuł dano sztuce od nazwiska bohatera dramatu: „Pan Zola-Sienkiewicz“.

W bardzo anemicznym repertoarze ostatnich czasów ten dramat ludowy tętni życiem i namiętnością, ma zakrój poważniejszy, znać w nim robotę talentu i artyzmu.

Główna figura wyszła w przerobieniu trochę wykoszawiona, do obrazu dolano niepotrzebnie sepii żółciowej, zaostrzono satyrę w przedstawieniu stosunku dworu do gromady, ale bądźco bądź utworzono całość pod względem scenicznym zajmującą i godną poznania ze sceny.

Prawda, że do tej kanwy dostarczył wzoru talent tak niepospolity, malarz tak subtelny, artysta tak znakomity, jak Henryk Sienkiewicz. Na naszej stałej scenie mamy tymczasem wznowienia, komedye, „jakich wiele“, przedpłotopowe opery i debiuty, w których młode siły popisują się dla zadosyćuczynienia własnej ambicji.

Marzeniem tych wszystkich kwiatków ogródkowych jest przeffancować się na grzędę warszawskiej sceny, bo im się wydaje, że tu dopiero w egzotyczne jakieś kwiaty wybudają: a tu, niestety zmieniają się najczęściej w biedne chwaściki, przygłuszone zakorzenionemi oddawna potentatami wśród flory Melpomeny.

Chciałbym jeszcze co wesołego powiedzieć wam pomiędzy jednym a drugim obowiązkiem ziewnięciem w sezonie nudy, kanikuly, ogórków i debiutów teatralnych; ale nic takiego na myśl

mi nie przychodzi; z nowinek chyba to, że Francuzi jacyś zjeżdżają do nas, aby zakładać fabryki koronek, do których pepiniera zaczęła pani Gabrielowej. cicha i skromna, ale pożytecznie działająca fabryka koronczarstwa dostarczy zapewne zdolnych i wykwalifikowanych robotnic; chyba to, że wokolicy Warszawy rozwija się hodowla roślin aptecznych, która nowe źródło dochodu przysporzyć może rolnikom naszym; chyba to, iż przybędzie nam w końcu roku bieżącego nowy podręcznik konkursowy, z którego każdy dowiedzieć się będzie mógł, czy, kiedy, jakie i za co ma płacić podatki.

Podręcznik ten powstanie z inicjatywy łódzkiej filii Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, która rozpięła konkurs i wyznaczyła dwie nagrody w kwocie 600 i 200 rs. z pozostawieniem laureatowi zysków z rozprzedaży książki.

Na zakoczenie, jak zwykle, stawiam znowu krzyżyk; straciliśmy bowiem znowu dzielnego człowieka, znakomitego specjalistę, inżyniera, który z Lessepsem budował Kanał Suezki, stawił port nad Adryatykiem w mieście Rjeka, regulował rzekę Moskwę, wykonał mnóstwo robót technicznych na większą skalę i należał do prawdziwych powag w swoim zawodzie.

Przed dwoma tygodniami zmarł w Warszawie ś. p. Stanisław Janicki w pięćdziesiątym drugim roku życia; człowiek to był wielkiej nauki, prawego charakteru, wielkiej skromności i słodczy, który chciał i umiał być pożytecznym.

Powszechnie żalowany zeszedł do mogiły za wcześnie dla siebie i dla społeczeństwa naszego.

Godzien dobrej cześci i pamięci...

Quis.

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce potem widać ją było na runduku; stała we drzwiach do sieni prowadzących i rozglądała się wokoło. Szukała ojca. Nie znalazła go w świetlicy, wyszła na runduk, wiedząc o tem, że w noc spokojną i jasną lubiał tam długo przesiadywać.

Rozpatrzywszy się wokoło, poczęła wołać:

— Ojcie! ojcie!

W tej właśnie chwili skrzypnęła furta i pokazał się w niej stary wojewoda. Szedł bez czapki. Lekki wietrzyk jesienny rozwiewał mu siwą brodę i wąsy, a księżyc posrebrzał je swoim blaskiem.

Luda żywo poskoczyła do niego i na szyi mu zawisła:

— Szukam ciebie, ojcie... chcę ciebie pocałować na dobranoc— spać pora.

Wojewoda pocałował ją w czoło.

— Myślałem, moja ptaszyno, że śpisz już.

— Przadłyśmy, ojczulku — odpowiedziała Luda, gładząc brodę ojcowską.

Podczas rozmowy Ludy z ojcem przy furtce dał się słyszeć śród ciszy nocnej tentent konia. Wojewoda podniósł głowę i nasłuchiwał. Echa odbijały się silnie i równomiernie i coraz bardziej zbliżały się do nasłuchujących. Luda, przytuliwszy głowę do ramienia ojca, słuchała także. Tymczasem echo słabło, ale uderzenia kopyt końskich o ziemię dźwięczały wyraźniej. Narazie koń zatrzymał się tuż przed dworem wojewody. Tentent ustał — echa tylko grały, widocznie jeździec przywiązywał konia do kółka.

— Złe wieści — pomyślał wojewoda.

Po chwili rzekł głośno:

— To pewnie poseł z Padolu.

— Cóż się tam dzieje, ojcie?

— Wiec przy Turowej Bożnicy; już od dwunastej dziennej godziny zaczęli się zjeżdżać... burzy się lud.

Furtka skrzypnęła nagle i na progu ukazała się postać pięknego młodzieńca; poznano go od razu.

Był to Jan Wyszatycz, syn osadnika z Wyszohrodu, druha i towarzysza młodości wojewody. W chwili opowiadania, Jan był *tysiącim* na Berestowie i przez ciekawość pojechał na wiec do Turowej Bożnicy.

Na kaftan ciemno-zielonej barwy, podpasany złotą-przetkanym pasem, miał narzucone *korzno*, spięte pod szyją złocistą klamrą, a na głowie srebrzył mu się soboli kołpak.

Postąpiwszy parę kroków do wojewody, zdjął kołpak i do nóg starcowi się pokłonił:

— Pokłon wam, wojewodo! — rzekł.

Potem zwrócił się do Ludy i taksamo do pasa pochylił głowę, kołpak soboli w rękę trzymając:

— I tobie pokłon, krasnolico Ludo!

Do wojewody potem się zwrócił.

— Z wieścią do was, wojewodo, przyjeżdżam... Byłem na wiecu przy Turowej Bożnicy... Dojrzałem zdaleka światelko w choromach i do was pospieszyłem.

Mówił, przerywając, jakby się namyślał; może nie chciał, aby wieść, której miał wojewodzie dzielić, doszła do uszu Ludy.

Znać odgadnął myśl Kośniaczko, bo pożegnał Ludę i spać jej iść rozkazał. Zostali sami i, usiadłszy pod rundukiem, rozmawiali.

— Coś złego dzieje się — rzekł Wyszatycz — Ludzie wygadują na was i na kniazia...

— Wygadują — powtórzył wojewoda, a po chwili dodał: — i mają prawo wygadować.

Wyszatycz widocznie nie spodziewał się takiej odpowiedzi; jemu zdawało się, że wojewodę oburzy wiec ludowy, zgromadzony pomimo woli kniazia; tymczasem wojewoda wieść przyjął obojętnie. Widocznem jednak było, że Wyszatycz, nie tylko z tą jedną wieścią przybył do choromów Kośniaczki; nęciły go tutaj jasne oczy i giętka kibić Ludy, którą znał oddawna. Kiedy Jan, po otrzymaniu obojętnej odpowiedzi od wojewody, namyślał się: coby powiedzieć, wojewoda zapytał:

— Czegóż chcą?

— Chcą wojny z Połowcami... Mówią: kniaz nie broni naszego życia i mienia; musimy bronić się sami. Nie na to gromadziliśmy, powiadają, dobro, aby nam Połowczyn i otroki kniazowskie rozdrapywali... Byli i tacy, którzy głośno wykrzykiwali, że ponieważ nie mamy już ani kniazia, ani wojewodów, ani drużyny, którzyby nas bronili, musimy sobie poszukać nowego kniazia, lepszych wojewodów i drużyny wierniejszej.

Kośniaczko wysłuchał tej mowy i po namyśle odrzekł:

— Nie ręk nam braknie, ale głowy: alboż tego nie widzą? Prawdę to mówią: biada głowie bez ręk, ale i rękom bez głowy biada!

Niedługo trwała rozmowa, bo godzina późną już była. Wyszatycz wrócił do domu, a wojewoda poszedł do swojej komnaty odpocząć, bo nazajutrz do dnia miał zamiar znowu pójść do Izasława, grożące mu niebezpieczeństwo przedstawić i jakąś radę znaleźć, dla odwrócenia złego. On znał dobrze usposobienie ludu i przewidywał niedobre następstwa nocnego wiecu.

Jak tylko świt błysnął, wojewoda kazał osiodłać sobie konia i na kniaży dwór pojechał.

Tymczasem Padół wrzał, jak kocioł z wodą kipiącą, a lud poczynął już gromadzić się i na Górze.

Słońce zeszło dawno, a wojewoda nie wracał; daremnie Luda niespokojna czekała go na runduku. Lud gromadził się w kupy coraz większe i co chwila napływał; po drodze od Kośniaczkowej bramy pojawiały się konne orszaki. Wszystko to hałasowało, krzyczało, wygadawało głośno na kniazia i drużynę. Zapach burzy wisiał w po-

wietrzu. Wojewody jednak jak nie było tak nie było. Luda siedziała na runduku, wyczekując przybycia ojca.

Nagle przed samą bramą rozległ się tentent kopyt — i ustał.

— Może to ojciec — pomyślała Luda i z ławeczki powstała, wyprostowała się, gotowa biedząc na jego spotkanie.

W tem otworzyła się furtka i pokazał się — Wyszatycz.

Był blady i niespokojny.

Oko w oko spotkał się z Ludą.

— Gdzie ojciec? — zapytał nieco przełknięty.

— Pojechał na wielki dwór i dotąd nie wrócił — czekam go niespokojnie.

— Złe — rzekł Jan mimowolnie, zapominając, że przestrasza dziewczynę.

Luda spojrzała na niego wielkim, błękitnym, błyszczącym od łez okiem, jakgdyby zapytać chciała: gdzie jest złe i w czym?

Wyszatycz widocznie zrozumiał nieme zapytanie i niepokój dziewczyny, bo złe owo wyjaśnił.

— Ludzie idą z wieca na Górę — rzekł.

Luda nie rozumiała w czem tu mianowicie leży niebezpieczeństwo, ale zachowanie się Wyszatycza trwożyło ją. Spojrzała na niego znowu łagodnym, głębokim wzrokiem.

— Cóż będzie z ojcem? — spytała.

Wyszatycz, jakby nie słyszał pytania, ciągnął dalej:

— Chciałem mu właśnie powiedzieć, aby zebrał drużynę i ludu na Górę nie puścił.

— Odszukaj pierwszej ojca... jedź na kniaży dwór.

Przestrach ją opanował.

Dostrzegł to łatwo Wyszatycz. Żał mu było dziewczyny, więc rzekł do niej łagodnie:

— Nie bój się, słoneczko jasne.

Dziewczyna, zdawało się, nie zwróciła uwagi na te słowa współczucia.

— Odszukaj ojca i powiedz mu o tem, co się dzieje — powtórzyła.

Wyszatycz, stał jak wryty, i patrzył na Ludę. Chciał może jeszcze co mówić i nie śmiał.

— Jedź — rzekła znowu Luda — trzeba ojca uprzedzić...

Wyszatycz pokłonił się kołpakiem i wyszedł. Dosiadł wnet konia i słyhać było, że cwałem na wielki dwór popędził.

Nie minęło więcej, niż pół godziny po odjeździe Wyszatycza, kiedy droga z Kożemiak do Kniaziego Końca poczęła ożywiać się coraz bardziej; kupy konne i piesze zwiększały się i gromadziły na przestrzeni między Bramą Kożemiacką a dworem Kośniaczki.

Luda, przestraszona kazała zamknąć bramę i furtę.

Widać było, że lud zatrzymuje się z rozmysłem przed dworem Kośniaczki, bo coraz głośniejsze poczęto wygadawać na wojewodę.

Ktoś z tłumu zbliżył się do zakratowanego okienka w częstokole dworu kośniaczkowego i począł wołać:

— Otwórzcie bramę! Hej!

— A zawołajcie tu — krzyczał inny — wojewodę! Zajączą Skórkę! Lud go prosi na radę.

— Niech nam dadzą konie i miecze, odpędzimy sami Połowców!

— Damy radę i bez drużyny!

Tłum rósł coraz bardziej i coraz głośniejsze wykrzykiwał.

Luda w przestachu wysłała do okienka otroka i kazała powiedzieć, że wojewoda na kniaży dwór pojechał.

— Nieprawda! — wołano... Widzieliśmy, jak ztąd powracał tysiącki z Berestowa... — musi być i wojewoda!

— Wyszatycz nie zastał wojewody — odpowiedziano z okienka.

— Znajdziemy go... Kiedy wojewoda, niech rat' na Połowców prowadzi, a nie siedzi, jak zając pod miedzą.

Fala ludu napływała bez ustanku i stawała się coraz groźniejszą.

— Chodźmy do kniazia! — wołano.

— Chodźmy!

— Nam nie takich kniaziów potrzeba, co pić

umieją za nasze kuny, lecz takich, co naszego życia i dobra bronić potrafią w polu..

Massa nieprzeliczona ludu pieszego i konnego, dzieci i starców poruszała się gwałtownie.

W tej chwili wyjechał nieco na stronę z tłumu jeździec i unosząc kołpak soboli do góry, głośno zawołał:

— Bracia i druhy! rozdzielimy się! Niech połowa z nas idzie na wielki dwór i zażąda u kniazia koni i mieczów dla obrony, a druga połowa niech idzie do porubu. Tam zamknięty książę Wsześław; jeśli nam Izasław nie chce być kniazem, wyrąbujemy Wsześława i na stolcu książęcym go posadzimy. Niech nam kniaży i broni nas!

Mowa ta widocznie trafiła do przekonania obecnych, bo lud rzeczywiście rozdzielił się na dwie połowy. Przednia część ruszyła po podwórku Bracysławów przez most i wrota św. Zofii na Kniaży Koniec, a druga zawróciła się od dworu Kośniaczka w tył i podążyła do porubu.

Izasław wiedział o niezwykłym ruchu gromady, ale, mając drużynę przy sobie, nie lękał się ludu i lekceważył go, niespodziewając się może, że zaburzenie przyjmie wkrótce tak groźny charakter. Na wszelki wypadek jednak posłał wojewodę Kośniaczka do metropolity Grzegorza, aby pośpieszył na wielki dwór i pomógł lud uspokoić.

Zaledwie wojewoda odjechał, stanął przed wielkim dworem niezliczony tłum ludu, groźny wyściem, jak rozhukane morze.

Wielki dwór, otoczony takimże częstokołem, jak teremy Kośniaczki, czołem zwracał się do Dziesięcinnej Cerkwi i Babinego Targu, a tylną stroną dotykał muru od Perewiesiszczu; stał zaś na wysokim wzgórzu, niedaleko drogi wiodącej od Boryczowego wąwozu i wyglądał, jakby gród osobny.

Izasław siedział w przedsieniu z drużyną, kiedy posłyszał jakiś dziki gwar na drodze. Któryś z bojarów wyjrzał przez okienko w częstokole i cofnął się do sieni, przerażony. Na dole i na całym placu Dziesięcinnej Cerkwi mrowił się groźny lud.

— Kniażel lud przyszedł z wieca! — zawołał przestraszony.

Izasław, otoczony liczną drużyną, wyszedł z sieni i skierował się do furty.

Drogę mu zaślapił syn Mścislaw.

— Nie wypada tobie, ojczu, rozmawiać z buntownikami; zostań z drużyną, ja pójdę...

— Zostań, miłościwy kniaże...

— Niech Mścislaw mówi z ludem! — nalegała drużyna.

Izasław wrócił na runduk i żywo zaczął rozmawiać z drużyną widocznie, naradzał się i dawał rozkazy.

Przy furcie stanął Mścislaw. Spojrzał przed siebie i głos, zdawało się, zamarł mu na ustach. Babin Targ i cały plac aż do cerkwi św. Zofii mrowiły się od ludu. Kniaży dwór otoczony był dokoła.

Ktoś z tłumu, dostrzegłszy Mścislawa, wysunął się przodem i krzyknął zuchwale:

— Kniaże! Połowce ledwie nie codziennie napadają gród nasz — i nikt go nie broni! Doszło do tego, że do Przedślawina i Szulawki nikt pokazać się nie może...

— Alboż nie chodził ojciec na Połowców nad Altę? — odrzekł Mścislaw.

— Chodził, to prawda, lecz mało z tego korzyści. Nie kniaż odpędził Połowców, ale Połowce odpędzili kniazia; wrócił do domu, a Połowce za nim...

— Gdzież Połowce? — pytał Mścislaw w gniewie.

— Z runduku nie obaczysz! — odpowiedziano.

— Spytaj drużyny! — krzyczeli inni.

Drużynę kniaż trzyma dla sopilników i taneczek, a nie dla Połowców — żartowano.

Mścislaw sponował od gniewu.

— Czegoż krzyczycie, baranie głowy! Nie wasza rzecz kniazom rozkazywać, ale kniaziów — wam.

— Nasza rzecz rozkazywać, bo u nas kniaży; jak nie będzie kniażyć, to i rozkazywać nie będziemy.

— Niech da nam konie i mieczel obejdziemy się bez kniazia i drużyny.

Sprzeczką ta z Mścislawem coraz groźniejszy przybierała charakter; rozniewany wrócił na runduk i rozmawiał z ojcem, poglądając, czy nie jedzie metropolita uspokoić tłuszcę.

Lud, nie mając żadnej stanowczej odpowiedzi od Izasława, lżony przez drużynę i otroków kniazioskich, niecierpliwił się i zaczął walić we wrota kniażego dworu.

— Zle, kniaże — rzekł nieodstępny od niego Czudyn — widzisz, jak się lud sroży; poślij pilnować Wsześława.

W tem Izasław spojrział przed siebie i dojrzał nowy wielki tłum ludu, zbliżający się do Kniażego Końca.

— Metropolita z krzyżem — zauważył radośnie. Lud zgromadzony ryczał podawnemu.

— Koni, kniaże, i mieczów! lub w pole chodź razem z nami!

Postawa jego co chwila stawała się groźniejszą.

— Niema, kniaże, innej rady — doradzał Czudyn — tylko poślij tajemnie otroków do porubu: niech zwabią Wsześława do okienka i mieczem przebiją. On źródłem, on podniętą do złego.

Ów tłum, widziany z daleka, posuwał się coraz bliżej. Przodem jechał jeździec bez kolpaka i korzny, w brudnym wypłowiałym kaftanie, z gęstą brodą i długimi wąsami, jechał czołem, a obok niego i za nim podążał pieszo i konno niezliczony tłum ludu.

Izasław bystrem i chmurnem okiem spojrział w tę stronę.

— To nie metropolita — zawołał — znam ja wojewodę! on nie pośpieszy, on nie kniaziowi służy, lecz wiecowi.

Kniaż odgadł co to był za orszak.

W tem Czudyn zbliżył się do niego i szepnął do ucha:

— Teraz, kniaże, nie-pora posyłać otroków do porubu: wiodą już tobie w gościnę Wsześława.

Izasław targał sobie brodę ze złości.

— Nie nacieszy się długo! — rzekł sam do siebie.

Potem krótki mieczyk podniósł do góry i począł grozić nim, zwróciwszy się do Babinego Targu:

— Upokorzę was — wołał w gniewie — będziecie nogi moje całować i o przebaczenie prosić.

Głos kniazia drżał niepohamowanym gniewem, a usta pieniały się, jak u dzika.

— Hej, bracia i drużyna! — zawołał, zwróciwszy się do drużyny — kto wierny kniaziowi, niech ze mną idzie! Znajdę ja rękę, która tych krzykaczy z postronkiem na szyi do mnie przyprowadzi.

Lud, dojrawszy orszak postępujący na czele z Wsześławem, coraz natarczywiej zaczął do bramy walić.

Drużyna i kniaż usunęli się do wnętrza dziedzińca, a natomiast naprzód wystąpili zbrojni grydnie i otrokowie, gotowi stawić czoło ludowi. Był to manewr umyślnie wywołany dla zamaskowania ucieczki kniazia. W ogrodzie stały potroczone konie. Izasław dosiadł z drużyną koni, tylną furką, prowadzącą do Berestowa wymknął się z dworu i Chreszczatą Doliną podążył na Wasylów, wszystkie bogactwa swoje zostawiwszy na łup rozhukanemu ludowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXI.

Jan de Thommeray, komedia w 5 aktach Augier'a i Sandeau, przekład Kuzałskiego. **Dziedzictwo Orłów**, obraz sceniczny ze śpiewami i tańcami w 4 aktach, oryginalnie napisany przez A. Staszczkę (Autora *Nocy Świętojańskiej*).

Francuzom udają się spółki literackie. Erckman i Chatrian rozślawili imię swoje po całym

świecie: A. Maquet był bardzo dobrym wykonawcą pomysłów i poleceń niezrównanego bajara; Barrière i Thiboust zjedli ze sobą niejedną beczkę soli; Augier i Sandeau opracowali wspólnie cztery europejskie już sztuki dla teatru; nawet tak indywidualny mózg, jak Zoli, potrzebował współnika do wymłócenia ze sceny tych franków, których nie zdołał jeszcze wymłócić z książek swoich powieści — i trzyma sobie przybocznego fabrykanta dramatyczności, Bussnacha. Najczęściej jeden współnik daje pomysł, drugi opracowanie sceniczne, ale zdarza się też i wspólna praca nad samym już dramatem. Pomysł, przystęp, jedna jakaś tylko scena pobudzająca wrażliwość, szczytny jakiś moment psychologiczny, — nawet sam tytuł — mają swoją wartość. Prawdziwy twórczy talent może nawet dobrze za nie płacić: ztąd spółki. W teatrze całego świata Francuzi najskrzętniej i najlepiej pracują: widać już przeznaczeni są do obdzielania świata całego swojemi sztukami dramatycznymi. Wszyscy się nimi żywią, nawet tak serdecznie ich nienawidzący Niemcy. Bez pomocy Francuzów teatry oryginalne same przez się nie obstałyby potrzebom ciekawości, nie oparłyby się pewnemu cywilizacyjnemu wstydowi, nakazującemu koniecznie poznać to, czego słucha Paryż.

Długo, bo prawie lat piętnaście, namyślano się — czy też nie myślano wcale — zanim czwarta ze sztuk napisanych przez Augiera do spółki z Sandeau weszła na afisz naszego teatru (Letniego). Na „Zięcia Pana Poirier“ patrzymy już od bardzo dawna. Napisana wspólnie z autorem „Heleny de la Seiglière“ *La pierre de touche* jest pierwszą sztuką satyryczną, która zrobiła Augierowi rozgłos, jako rzeczywistemu już komedyopisarzowi współczesności. *La ceinture dorée* prawie w tym samym czasie, co i poprzednia, powstała także we współpracownictwie z Juliuszem Sandeau.

W „Janie z Thommeray“, twórczym autorem jest Sandeau, technicznym tylko Augier. Pierwszy napisał powieść (1873), drugi ją na scenę przerobił. Nie powiem, aby to przerobienie było dobrem; powieść sprawia silniejsze wrażenie, głębiej wchodzi w umysł — niż komedia. Augier potrzebował „Jana“ dla zamknięcia całego szeregu swych satyr dramatycznych skierowanych, już nie wprost przeciwko Napoleonowi trzeciemu — i zdaje się ostatniemu — ale przeciwko zepsuciu obyczajów, upadkowi charakterów i całej tej zgnilizni, w której systemat napoleoński, raz zacząwszy od bezprawia, szukać już musiał dla siebie oparcia, i rzeczywiście je znajdował. Gdy się społeczeństwu wydiera dążności wielkie, ideały szlachetne i potężne, skazuje się je temsamem na życie małe, nieprawe i niegodziwe — a zamiast ideałów rzetelnych rozbudza się w ludziach idealiki małuczkie, nędzne, — będące tylko upostaciowaniami żądź zwierzęcych przez myśl ludzką. Pomimo niezmiiernej ostrożności w pisaniu, miał Augier wiele kłopotów w ze swemi satyrkami; po uporczywych dopiero walkach z autorem wpuszczano je do Komedyi Francuskiej. Przyczyniły się one do podtrzymania zdrowego rozsądku i czystych sumień — i jak wartością wewnętrzną, tak wpływem swoim nazewnątrz zjednały Augierowi główny tytuł, z jakim wejdziesz do historii literatury francuskiej. „Cykuta“ pozostała pięknym poetycznym obrazkiem; „Filiberta“, „Diana“ i inne wcześniejsze zajdą mgłą czasu: *La pierre de touche*, *Le mariage d'Olympe*, *Le gendre de Mr. Poirier*, *Les lionnes pauvres*, *Le fils de Giboyer*, wreszcie *Jean de Thommeray* pozostała. Sardou w „Benoitonach“ był tylko naśladowcą Augiera.

Drugie cesarstwo już dogorywa. Sceny uliczne roku 1869 wydały gabinet Olliviera — *Thomme au coeur léger*. Napoleon, kąpiąc się w plebiscycie majowym (r. 1870) jest dość naiwnym, aby wierzyć, że go ta kąpiel wzmochniła. Ale rzeczywistość rozwiewa złudzenie; najpotężniejszym bodźcem do formalnego wyzwania Prus i wpadnięcia w zastawioną przez Bismarcka pułapkę będzie, nie klerykalizm cesarzowej Eugonii, nie szowinizm marszałków, ubranych w piękne pióropusze, ani też pycha narodu nazywającego się dumnie „la grande nation“, — ale po-

trzeba skierowania inteligencji i namiętności politycznej, rozbudzonej już do samodzielnego życia, na zewnętrzny nieprzyjaciela. Tę napoleońską dywersją polityczną Francja drogo opłacić miała w „straszny rok”. Właśnie na pierwszą jego połowę przypada dramat. W Bretonii mieszka hrabia de Thommeray; ma przy sobie syna Jana, zaręczonego już z kuzynką Maryą de Kéror, a w wojsku algierskim dwóch młodszych, których powrotu właśnie w I akcie wyczekuje. Chęć nabycia sąsiedniego folwarku sprowadza na scenę jakąś baronową de Montlouis, mającą starego męża, a młode nerwy. Jan jest uczciwy, czysty, niewinny; ale zaczyna zapadać już na melancholię; kuzynka nie wzbudza w nim tych żarów, jakich dusza jego potrzebuje dla swej równowagi; samotność zamku bretońskiego nuży go; radby się wypławić w świecie — w tem, co dla pierwszej młodości ma w świecie najwyższą wartość. Baronowa zachwyca się jego niewinnością — ulega wrażeniu jego męskiej piękności; namawia go do Paryża. Gdyby nie wielka sumienność ojca, mimo przedstawień żony odkładającego ślub dwojga zaręczonych aż do pełnoletności panny, nad którą prawnie opiekę sprawuje — gdyby nie ta piękna, o miarę koniecznej potrzeby nie pytająca cnota — to ani owe namowy, ani owe melancholie nie byłyby oderwały młodzieńca od gruntu, w którym wyrosnąć miał niezawodnie na dzielnego obywatela. Ale nieszczęście musi się spełnić: wobec trzeźwego praktycznego rozsądku zbyt surowe zasady ojca spowodują zachwianie się nie dość jeszcze silnych zasad syna. Jan jedzie do Paryża, do którego wraca i baronowa, pewna zdobyczy.

Akt II ukazuje nam już Jana zakochanego na zabój — podczas jakiegoś obiadu wyprawianego przez barona de Montlouis dla rozmaitych urwipolciów: giełdżarzy, przedsiębiorców, pośredników, różnych utajonych złoczyńców, charakteryzujących ową nieszczęsną dla Francji epokę. Baronową Hortensyą pomyślał Sandeau oryginalnie. Wygląda ona jakby wstrzymana w rozwoju *dame aux camélias*, wietrznicą, przez grymas losu noszącą ziarno uczciwości w duszy — już ciż nie zupełnie uczciwej. Życie ukazuje i takie typy, ale sztuce bardzo je trudno przedstawiać. Owa ziarenkowa uczciwość Hortensyi nie pozwala jej przyjąć od Jana pożyczki na zaspokojenie długów rozrzutności. Biedak tak się już w starszej o lat kilkanaście, a o całe wieki doświadczeń kobiecie zadurzył, że nie mając własnych pieniędzy, idzie do stolika hazardu, gra szczęśliwie i wygrane banknoty składa przed panią swego serca. Ta nie daje się zmięknąć i odrzuca. Prawego chłopaka pieniądze te palą; nigdy jeszcze nie grał; gdyby wygraną zatrzymał, nie czułby się prawym jej właścicielem: oddaje więc co wygrał jednemu z urwipolciów na jakieś przedsiębiorstwo, nie dbając o odbiór i bezpieczeństwo. Już go łybał trzyma. Baronowa zakończy akt rozmyślaniami: czy nie lepiej było przyjąć: aby chłopca nie pchać na nowe niebezpieczeństwa?

Po obłędzie miłosnym zaczyna się upadek moralny: Jan gra na giełdzie, spekuluje, wygrywa i zarabia, zdobywa sobie środki do wystawnego, hulaśczego życia. W akcie III widzimy go w towarzystwie tombakowej młodzieży stolicy, a za panbrat już z intrygantem i faktorem najgorszego gatunku Roblotem, posługaczem bankierów, głównie niejakiego Jonquièreś'a, którego już w salonie p. de Montlouis poznali. De Thommeray ledwo już sobie przypomina rodzinne swoje gniazdo; ale matka nie daje mu o niem do szczeru zapomnieć: przyjeżdża, aby go wyrwać z tej paszczyki. Syn przyrzeka jechać tegosamego dnia do rodziców — ale przyrzeczenie to łamie dla jakiegoś — „baronetki”, grającej rolę lilii mechanizmem psychicznym przypominającej baronową. Nie jest ta baronetka zupełnie zepsuta — człowieczeństwo nie zupełnie jeszcze z niej uciekło. Pani de Montlouis, dowiedziawszy się o zamiarze wyjazdu, boleje i uspakaja się dopiero obietnicą powrotu za tydzień. Serce Jana już się oderwało zupełnie od Maryi de Kéror: wybierając się do Bretanii, syn szlachecki ma za-

miar oddać narzeczoną swoją któremu z braci. Zresztą panna milionowa — nie przepadnie.

W akcie IV Jan i obie kobiety znajdują się w Trouville: jedna o drugiej nie wie, obie oszukiwane, spotykają się u swego bożyszcza w scenie bardzo efektownej; Baronetka wybawia damę wielkiego świata z niepokoju i cierpień miłości bardzo odważnym wejściem pomiędzy rozpadającą się już parę. Obie kobiety zostawiają Janowi pogardę i lekceważenie: ma na co zasłużył, ale to jeszcze do złamania go nie wystarcza; zamiast opamiętać się, brnie dalej. Właśnie zbierają się już chmury wojenne; pierwsze wieści przylatują do Paryża; chwyta je spekulacja, kursa spadają i Jan przegrywa odrazu wszystko, co miał. W tej chwili chwyta za linę ratunkową: ożeni się z panną de Jonquièreś, którą pierw- pogardzał, kiedy mu ją usłużny Roblot na małżonkę stręczył. Już w nim człowiek zastygnał, zamarł.

Potrzeba dopiero obłączenia Paryża, aby go wskrzesić. Jak pierwaj zamieniły się role pomiędzy panią de Montlouis a Janem, i pierwsza wyobraża w stosunku wzajemnym zasadę uczciwości, tak i teraz, gdy ojczyzna w niebezpieczeństwie a stolica w ognistych uściskach wroga — głos obowiązku wychodzi, nie z czystej piersi dziecięcia prowincyi, ale z brudnej piersi Paryżanina. Jeden z dawnych towarzyszy wyklada Janowi elementarne prawa sumienia; napróżno! Hulaka, bankrut materyalny i moralny umie tylko przeklinać to miasto, którego tak święcie bronić powinien. Jestto fakt powszechny: egoizm występny nie zwraca się przeciwko sobie, ale przeciwko tym, których skrzywdził. Autorowie obmyślili ten moment głęboko i z dobrą plastyką myślową. Dopiero nadciągnięcie batalionu ochotników bretońskich pod dowództwem starego pana de Thommeray sprowadza przełom dramatyczny. Na głos pieśni rodzinnej, na widok ojca i braci — zmartwychwstaje dawny Jan de Thommeray. Byłoby lepiej dla widza, gdyby w chwili moralnego odrodzenia się fizycznie umarł od kuli nieprzyjacielskiej.

W sztuce czuć powieść. To, co tu stale jako najważniejsze wskazujemy: psychologia dramatyczna, z wyjątkiem aktu IV pozostała w książce i nie wyszła na scenę. Między aktem III a IV, jest związek przez charaktery i przygody, ale nie ma go między I i II; między II a III lub IV a V. Dwa krańcowe akty I i V, są właściwie przystawkami, pierwszy jako prolog, drugi jako epilog. Pomimo to sztuka zajmuje i zajmować musi przez główny temat młodzieńca staczającego się coraz niżej i szybciej w przepaść zepsucia, które dlatego, że kryminałem wcale nie trąci, jako czysty upadek moralny silnie się wżera w duchowy wzrok widza. Dlatego tematu — rzeczywistie przeprowadzonego, a nietylko pomyslanego, z wyżej wskazaną wyrazistością — można darować autorom, a raczej Augierowi, zdrożności w kunszcie dramatycznym. Cywilizacyjna wartość sztuki jest wysoce dodatnią.

Janem de Thommeray był p. Ładnowski; ale więcej widzieliśmy p. Ładnowskiego, niż Jana. Nawet zapal Jana jest zimny; boża iskra szczerzego temperamentu już w artyście wytłafa. Niezależnie od środków fizycznych, z których głównym jest głos, braknie już wielu dawnych środków, dawnych sił moralnych w tym artyzmie, który niegdyś takie nadzieje obudzał. Najlepszym był p. Ładnowski w akcie III; dla sceny z kobietami w akcie IV zbrakło mu stosownej formy i potrzebnej potęgi. Panna Noiret w roli Hortensyi de Montlouis odpowiedziała swemu zadaniu, a panna Barszczewska zadziwiła zwolenników swego talentu — jeżeli go ma. Nie wielka rola matki de Thommeray znalazła w pani Rakiewiczowej wierne plastyczne wcielenie. Nawet panna Trapszówna trzymała się dobrze, jako Marya de Kéror. Wogóle role kobiece lepiej wyszły od męskich. P. Grzywińskiego pochwalić musimy za prawdziwie ożywionego barona de Montlouis. P. Rapacki był hrabią de Thommeray; właściwa artyście powolność wysłowienia tymrazem stała się aż rażąca (akt I).

Dziedzictwo orłów, wystawione w teatrzyku Bellevue, ma treść następującą: Szlachcic Ja-

towski wyrzucony ze wsi przez własnego dyrektora fabryki, Lubeńskiego, i żyda Rubena, będącego z nim w znowie: temat *Żydzi, Niemcy i My*. Za narzędzie nikczemu dyrektorowi służy kobieta, której wdowie składa hołdy, a z hołdami wexle i pieniądze, idące później do kieszeni — Lubeńskiego, istnieje tu bowiem gospodarstwo dwupolowe. Gromada wiejska przygarnia do siebie szlachcica wyzutego z mienia, dopomaga córce jego Wandzie do uczciwego zarobkowania i okazuje upadłym szlachetną życzliwość. Stary lokaj Jatowskiego trzyma się dawnych państwa, ale syn jego technik idzie wysługiwać się niegodziwcom. Wanda zwraca ku niemu serce swoje; ojciec widzi go w przeciwnym obozie: ztąd cierpienia, gniewy, rozpacz i przekleństwa. Ale technik wie co robi: dostaje w swe ręce dowody fałszerstwa Lubeńskiego i wybawi może rodzinę p. Jatowskiego z niedoli. P. Jatowski jednak umiera przedwcześnie, czy zapóźno — tego nie umiemy powiedzieć. Fałszerstwa dyrektorskie rzeczywiście wykryte, ale panna Wanda na scenie przynajmniej nie odzyskuje majątku. Odwet jest tylko kryminalnym: gromada chwyta, wiąże złoczyńcę i uprowadza do więzienia. Całość sprawia wrażenie czystej bibuły, z lekkimi tylko, bardzo drobnymi, technicznymi życia. Najnielastycznym jest tytuł. Jeżeli komu, to nie takim Jatowskim, przysługiwać może nazwa orłów. Bohater p. Staszczyka upadł z własnej winy — i można tylko dziecka jego, ziemi jego, tytułu własności żałować, ale nie jego samego. Wanda jest placziwa. Dyrektor fabryki starannie okopcony na czarny charakter. Jednego tylko Tadeusza można przyjąć jako rzeczywiście dramatyczną osobistość, gdyby nie naciągnięcie historyi z książkami fabrycznymi. Postąpienie gromady z Lubeńskim jest nieprawdopodobne, niemożliwe; melodramatyczna śmierć Jatowskiego i melodramatyczna cnota owej pani dwulicowej, jedna i druga — śmieszne. Gromada jest tylko jednym gromadnym komparem. Rzeczywiście rusza się w niej tylko Łykanty pijak, z dowcipną nazwą. Sztuka nie jest ani ludową, ani nie-ludową. Ludzie w niej przedewszystkiem nie wiedzą co mówić, a to, co mówią, nie trzyma się kupy. Jednym słowem: *Dziedzictwo orłów* nie udało się autorowi *Nocy Świętojańskiej*.

Stanisław Krzemiński.

LIST Z WŁOCH.

Rzym 15 Lipca 1888 r.

Wielkie i wcześniejsze niż zwykle, bo zaczynające się od Maja i cały Czerwiec dręczące nas tu upały, sprawiły, że Rzym wyludnił się rychlej niż kiedy w klassach swoich średnich, bo arystokracja, a za nią cały świat magnacki i elegancki pozostaje w mieście, aż do chwili zamknięcia izb i wyjazdu dworu. Za przykładem króla i królowej żałoba dworska, przywdziana tu po śmierci cesarza Fryderyka III, zachowywaną jest bardzo ściśle. Przedłużono ją nawet poza termin zwykły o tydzień cały wskutek życzenia, podobno nawet rozkazu, króla Humberta, a to aby zaznaczyć osobiste jego uczucie dla zmarłego. Że przedłużono podobnie żałobę w Anglii, to było ceremoniałem obowiązującym, bo nieboszczyk był zięciem królowej; ale tu chciano okazać swój żal po zgonie szlachetnego i na współczucie ludzkie zasługującego monarchy i człowieka.

A jest to żałoba gruba, zachowywana bardzo ściśle, jak rodzinna. Gdy poseł niemiecki, obwieszczający radosne wstąpienie na tron Wilhelma II, przybył do Rzymu, zastał dwór cały w czerni. I tylko, gdy z okazji tego poselstwa danym był w Kwirynale zwykły obiad urzędowy, kir ten zamienionym został na przeciąg jednego wieczoru na tak zwaną *żałobę lekką*. Królowa Małgorzata i za nią wszystkie panie były w białej welnie: w długich, prosty skrojonych sukniach bez żadnych draperji i ozdób,

bez żadnych kwiatów, lub klejnotów. Panowie w czarnych frakach i białych krawatach, w czarnych rękawiczkach. Żaden order, żadna dekoracja—nie błyszczały przytem.

Posłem był książę de Pless, który już raz posłował w Rzymie, ale w jakże odmiennej okoliczności! Było to jeszcze za życia Wiktora Emanuela; królowa Małgorzata została zaproszoną w kumy przez następcę tronu niemieckiego i trzymała do chrztu młodszą jego córkę: Małgorzatę Beatricę, i ambasador niemiecki otrzymał wtedy od króla włoskiego wielką wstęgę orderu Ś-go Maurycego, najwyższą w tym stopniu dekoracją włoską, a która oprócz członków rodzin panujących, dawaną bywa najczęściej tylko posłom, obwieszczającym wstąpienie na tron monarchy państwa, pozostającego z Włochami w stosunku przyjaznym. Król Humbert nie obdarzył już teraz posła niemieckiego żadnym orderem i dał mu tylko jako upominek przyjaźny dwie piękne i wysokiej wartości artystycznej statuetki sławnego włoskiego rzeźbiarza, Tenerani. Można by powiedzieć, że to jest niejako dar osobisty króla dla miłego mu człowieka, a nie pamiątka uczczenia posła i wieści, którą przywozi.

Miasta włoskie i wyższe sfery arystokracji zajęte są obecnie przygotowaniem podarków ślubnych dla księżniczki Letycyi Bonaparte, z którą, jak wiecie zapewne, żeni się młodszy brat króla, owdowiały książę Aosta. Jest to syno wica tak jego, jak króla Humberta, bo córka księżniczki Klotyldy Maryi, wydanej za bratanką Napoleona III, księcia Napoleona Bonaparte. Książę Aosta jest we Włoszech lubionym; lubioną jest również księżna Klotylda Marya, a więcej jeszcze jej córka Letycya, którą matka wychowała w gorącej miłości dla Włoch, ale przedewszystkiem i nadewszystko istnieje w piersiach ludu włoskiego wdzięczna miłość dla *Re Liberatore*, spływająca teraz na jego dynastję. Ponieważ książę Aosta rezyduje stale w Turynie i miasto to stanie się wkrótce miejscem zamieszkania młodej oblubienicy, tam też krzątają się najbardziej, na odpowiednie jej przyjęcie. W końcu przeszłego miesiąca (28 Czerwca) szesnaście panien, cór Turynu, prezentowało jej się i ofiarowało przepyszny starożytny wazon japoński, a w nim bukiet kwiatów, uważanych jako rodzimy produkt flory włoskiej i znajdujących się gdzieindziej tylko, dzięki przeszczerpieniu przez sztukę ogrodniczą.

Kobiety Turynu postanowiły ofiarować tak zwaną *zardinierkę* w stylu Odrodzenia, a można się domyślić, że będzie to mebel wykonany artystycznie, możliwie piękny i kosztowny. Ale ta myśl patryotyczna, która czuwa nieustannie w sercu, w myśli ludu włoskiego, bacząc pilnie, aby publiczne i wewnętrzne życie narodu szło za jej wskazaniem, położyła także i tu warunek, aby wszystko, tak materyał, jak praca wykonującej ręki, były włoskie. Ślub ma się odbyć we Wrześniu: otóż kwiaty, jakimi napelni się ten piękny sprzęt, który księżna znajdzie w swoim gabinecie, mają być też wyłącznie kwiatami pory, wydawanymi przez grunt ziemi włoskiej.

Miasto Turyn zamierza ofiarować młodej pani wspaniałe rzeźbiony i złożony kufer: podobieństwo skrzynki, w jakiej dziewczyna włoska z ludu mieści i w dom męża wnosi wyprawę swoją. Kufer ten, tak prawie drogocenny, jak dzieło sztuki, będzie zawierał najpyszniejsze jedwabie brokate, axamity, atlasy, na jakie stać nowożytny przemysł włoski.

Król i królowa szykują też bogate dary dla przyszłej bratowej. Królowa ma ofiarować przepiękny welon ślubny z koronek Burano, o którym mówią, że jako wyrób i okaz kunsztu koronkarskiego nie będzie stał niżej od przepysznych koronek, które miał na sobie Leon XIII przy mszy jubileuszowej, jako ozdoby alby, a które następnie były przedmiotem podziwu i uwielbienia pań, zwiedzających belgijski oddział darów jubileuszowych na wystawie tychże w Watykanie. Że jestem w przedmiocie tym profan, nie będę mógł powiedzieć wam wiele, ani o tych koronkach, ani o owym welonie, którego wzór, a nawet część już wykonaną, oglądałem na miej-

scu jego wyrobu, to jest na wysepce Burano, którą zwiedziłem w czasie mego pobytu w Wenecyi, zapowiedzianego wam w przeszłym moim liście. Obowiązywałem się w nim pisać do was, ztamtąd, ale człowiek proponuje, a Bóg rozkazuje... Nie miałem czasu na list, a raczej nie miałem usposobienia—nie chciałem pisać sobie wrażeń doznawanych, rozbierając ją w retorce sprawozdania, na wasz użytek czynionego. *Mea culpa!*... wybaczyć mi to tem więcej, że je wam teraz przesyłam, kreśląc je wygodniej przy mojem biurku w Rzymie, gdzie przebywam w przejeździe, bo po miesiącu czasu spędzonego w Wenecyi wybieram się w inną stronę, z kąd zapewne napiszę do was mój list następny. Teraz zaś pisze wam, jak podolałam, słówko o Wenecyi, chociaż na odmalowanie słowami piękna tutejszego świata potrzeba mistrza. Na szczęście, profanom pomaga to *coś*, co jest w człowieku potrzebą dzielenia się wrażeniami doznawanymi, więc przybysz chętnie chwytając pióro i pisze, a w Wenecyi ma do tego czas i ciszę, jakiej nie znajduje w żadnym innem mieście świata. Gondole przesuwają się po leniwych falach lagunów, jak marzenia sennie i słychać tylko miarowe uderzenie wiosła, a czasem łączy się do tego śpiew gondoliera, rozlegający się jak nigdzie indziej w tem powietrzu ciepłym i wilgotnym, które otacza cię jakoś łagodnie, jak gdyby miękko. A stare marmury tego miasta dozwól! jego pałace, katedra Ś-go Marka!

Piazza, czyli plac Ś-go Marka, podłużny czworobok, ujęty w ramy starożytnych budowli z piętnastego i szesnastego wieku, z frontem na katedrę i jej cudowną dzwonicę—to główny punkt miasta i codzień, gdy ognista kula słońca zatapia się w morze, gromadzi się tu cała wyborowa, elegancka publiczność Wenecyi, zasiada tak na krzesłach przed kawiarniami, jak u nas na ławkach Saskiego Ogrodu, dla słuchania muzyki wojskowej, dla spotkania znajomych—dla lustracji wzajemnej i odtwarzania lepiej, gorzej żywych obrazów z dramatu Romea i Julietty. Ale kto z przybywających tu jest choć trochę poetą, ma choć trochę rozwinięty zmysł malowniczości, niech pierwej — zaraz nazajutrz po przybyciu tu swoim, ujrzy to miejsce wczesnym porankiem ze sławnego Campanile Ś-go Marka.

Wzrok jego będzie miał wtedy przed sobą panoramę, która opisać się nie daje. Zobaczy rozłożoną dołem pod sobą całą Wenecję: wszystkie jej wieżycy i kopuły —piazzę, samotną jeszcze, która przecież jest teraz pełna skrzydlatego tworu: pełna gruchań i wlatujących gołębi, świętych dla patryotyzmu każdego Wenecyanina, bo są to rozrodzone potomki tych skrzydlatych gońców ongi Rzeczypospolitej, przynoszących przez morze, aż na Cypr, wieści z ojczyzny walczącemu tam staremu doży Dandolo. Jaki to widok! ta stara świątynia, te gmachy Prokuratorii starych i nowych, pałac dożów, biblioteka Sansovina w najczystszej stylu z epoki Odrodzenia, a dalej miasto ze swymi ogrodami, Lido, morze..

Morze to błękitne, uroczne, skusiło mnie jednego poranka popłynąć między wysepki, które widziałem z wysoka przy blaskach wschodzącego słońca, jak gdyby występujące dopiero z łona morza. Wielki kanał błyszczał cały, jak jakieś magiczne zwierciadło i gondola moja sunęła majestatycznie przy powolnym ruchu wiosł dwóch gondolierów, których opalone oblicze były jak gdyby ilustracją kolorytu Giorgia Barbarallego (Giorgione). Płóciennicze tuniki, przewiązane szerokim błękitnym pasem, przedstawiały się bardzo malowniczo. Wśród milczenia, panującego jeszcze na ziemi i w wodzie, minęliśmy cicho kilka małych wysepek, aż na koniec ukazało się miejsce ostatniego spoczynku Wenecyan: cmentarz, na którym miasto grzebie zmarłych swoich, wyspa San Michele z wyniosłą i wspaniałą wyglądającą brana, do której prowadzi prosto z morza kilka naciętych stopni kamiennych. Dziwne, niezmiernie uroczyste wrażenie sprawia ten jedyny na świecie cmentarz—samotny na łonie wód, które w tej chwili były ciche i miały w wyglądzie swoim trudną do opisanego powagę i uroczystość. Niedaleko wznosi się wysepka druga, gdzie niedawno składano na noc, poprzedzającą pogrzeb

zwłoki nieboszczyków w kaplicy. Obecnie kaplica już nie istnieje, rozsypana w gruzy.

Płynąc dalej, minęliśmy Burano. Wysepka ta, przechowała zaginiony w całych Włoszech i nawet w całym świecie sposób wyrobu starożytnych i wysoce cennych koronek włoskich. Zapamiętała go tylko jedna już, bardzo sędziwa staruszka i od niej, nawpół niewidomej, udało się sekret ten otrzymać. Ale zdaje mi się, że znacie tę historję, która w dziale pracy kobiet włoskich ma poważne znaczenie. Królowa Małgorzata, która jest zawsze tam, gdzie w zakresie działalności kobiecej jest coś dobrego do spełnienia, przyłożyła do tego ręki i wraz z księżną Genui otacza troskliwą opieką ten wskrzeszony przemysł niewieści. Burano używa we Włoszech jednej jeszcze sławy—pięknych kobiet.

Pisarz włoski, Taddeo, Paolini, tłumaczy to tem, że wiele pokoleń tych wyspiarek wydelikatniało się i wyszlachetniało przy zajęciu estetycznie wdzięcznym, broniącym od zgrubienia przy innych ciężkich pracach, złe oddziaływających na organizm niewieści.

Niezmiernie powabny widok przedstawia dla przepływającego mimo żeglarza wysepka Mazorbo, która jest wirydarzem, sadem i ogrodem warzywnym Wenecyi. Wszystkie kwiaty, owoce, jarzyny, które potem widnieją na straganach Rialto, ztąd pochodzą. Wysepka wygląda jak gaj, wyrosły cudownie wśród fal morskich, a że morze było w chwili, gdyśmy przepływali mimo, ciche i wyglądowne, więc odbicie się wysepki w wodzie dawało oku złudzenie, jak gdyby otaczały ją ogrody podwodnych. Nieraz zapewne o poranku i przed zachodem słońca powtarza się ta gra światła i można przypuścić, że wytworzyła się z tego niejedna baśń poetyczna o zaklętych ogrodach królowej syren.

Marzyciela wytrzeźwia zaraz wkrótce widok wysepki Murano, bo ta jest cała czarna od dymu, buchającego z kominów fabrycznych. Tu się wyrabiają nie tylko sławne od wieków paciorki, i perły szklane, ale i te drogocenne szkła, zwane w handlu weneckiem, które niegdyś płaciły się na wagę złota, a i dziś jeszcze używają sławy swojej. Kolorowe szkła są tu świetne, jak rubiny, szafiry, topazy.

Wysepka San Giacomo mieści skład prochu; zamieszkuje ją tylko kilku strażników, żołnierzy, z których obowiązek służby uczynił pustelników, bo nie wolno tu przybić żadnej łodzi, nie wolno tu wysiąść nikomu, bez pozwolenia wyższej władzy wojskowej, udzielanego bardzo skąpo.

Płynęliśmy jeszcze długą chwilę lagunami, które podobnie, jak i niebo po nad głowami naszymi mieniły się najdelikatniejszymi barwami opalu, na tle których odbił się tylko kiedyniekiedy ciepło brunatnego tonu żagiel, lub prześliznęła się wdzięczna, jak labędz czarna gondola—aż nareszcie wpłynęliśmy w kanał, wiodący już prosto ku brzegom, a raczej w głąb wyspy Torcello, bo morze wrzyna się tu daleko w środek wyspy i gondola nasza płynęła między dwoma rzędami ciemnozielonych olch, odbijających się w wodzie i niemal maczających w niej gałęzie swoje. Była to chwila, żem miał złudzenie, jak gdybym polując na cyranki, płynął strugą jakiej naszej rzeczulki, między dwiema wysoko ubitemi grobelkami.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGŁĄD PIŚMIENNICZY.

Deotyma: Polska w Pieśni: WANDA; Warszawa 1888: nakład Maurycego Orgelbranda, druk S. Orgelbranda Synów: str. 3—286, 8-o. — **Felicyan: Królowa**, dramat w pięciu aktach; odbitka z *Ateneum*; Warszawa 1888 druk K. Kowalewskiego; str. 1—81, 8-o.

(Dalszy ciąg).

Teraz, gdy Hakon, brat arcykapłana, czyhający na władzę Rytygiera, podsuwa mu smutne przewidywania, wódz niemiecki woła:

Na te wyrazy

Wszystkie złe bogi, z czarnych myśli rzeszą,
Wchodzą mi w duszę, jak burza w obłoki.
Gdyby tak było, ja sam jeszcze nie wiem
Cobyśmy uczynili. Ja-bym gryzł opoki,
Ziemie zasypał żarzewiem,
Ażby świeciła, jak północna zorza,
Ja-bym krwią Wendów zaczerwienił morza.

Dodatek:

Tak zaczerwienił, by królowie z dali
Szli i w tej wodzie płaszcze farbowali,

jest niedobry, sztuczny, i zasługiwał na zupełne usunięcie.

Ale zakochany odzyskuje wnet siłę; przypomina bowiem sobie widzenie na Łysej Górze, już w powrocie od Krakusa. Piorunna dała mu wtedy widzieć w jeziorze dwoje niebieskich oczu Wandy. Jedno spojrzenie zdobędzie mu miłość, i rzeczywiście w dalszym ciągu dramatu spojrzenie jest dla duszy Rytygiera niezawodzącym mieczem olbrzyma. Hakon nie wierzy w cudowność czar: Rytygier go wyzywa, rani, ale lekko, i po wychyleniu pułarów śpiewa idylliczną piosnkę, wcale piękną—o kimżeby, jeśli nie o Wandzie:

Gdy przechadza się po łące,
Trawa schyla kłosa zielony,
Lilie kładą się chwiejące—
Jakby były jej pokłony.

Kiedy jedzie przez las dziki,
Sokół zrywa się zdumiony,
Z drzew spuszcza się słowiki,—
Jakby były jej pokłony.

Gdy żrenicą długorzęsą
Spojrzy w błękit rozgwieżdżony,
Gwiazdy błędną, drząc się trzęsą,—
Jakby były jej pokłony.

Gdy zwycięzca idzie jaki,
To z posępną jeńców zgrają,
Wandzie kwiaty, Wandzie ptaki,
Wandzie gwiazdy się kłaniają.

Jeniec wojenny, dawny „książę Karency.“—
Świętosław rozbudza w Rytygierze nadzieję,
gdy go po odmowie Wandy rozpacz już przytłoczyć miała. Wpada Niemiec znowu w zapal miłości i sławi tym razem wszystkie już kobiety chrobackie:

Lica ich świeższe od róż,
Włosy złocistsze od zbóż,
Ich gniew morderczy jak nóż,
Miłość mocniejsza od burz,
A oczy głębsze od mórz.

Występuje z morza niemiecka bogini Herta. Arcykapłan chce jej poświęcić jeńca; ale Rytygier przez samo uczucie wdzięczności opierać się musi: Świętosław jest mu przyjacielem: może go na ofiarę oddać? Przychodzi do zaciętego sporu z kapłanem, którego ani na chwilę nie opuszcza myśl: jakby władzę książęcą dla brata swego, i pośrednio dla siebie, zagarnąć. Rytygier wpada w szal skandynawskiego Berserkera, ale przekleństwo kapłana rozprasza jego rycerzy. Zostaje sam ze Świętosławem. Szal jest przedwczesny, a jego bezskuteczność niweczy wyraz jego potęgę. Nie opętaniem, ale rozumem zbiera napowrót Rytygier rozpierzchnie mirmidonoństwo.

Kto umie towarzyszyć zdradzić w trudną chwilę,
Kto rycerskiego ślubu zapomina,
Niech pas rycerski zdejmie, niech zdepcze go

[w pyle,

U stóp kapłanów pełza jak gadzina,
O przebaczenie się modli,
Skróń liściem uwieniczy gnusnie,
I, jak robak od żeru odrętwiała, uśnie.

Nikt takim robakiem być nie chce; wszyscy wołają:

Nie! Trwóg ni zdrady niema w piersi mężkiej!
Pójdziemy z tobą na świata zdobycie,
Na ląd i morza, na chwałę i klęski,
Na śmierć i życie!

I idą, nie na świata wprowadzić ale na Krakowa, a w nim i Wandy, zdobycie. Świętosław przy boku Rytygiera. Jako szpieg i skrytobójca idzie także do Polski Hakon.

Stanęli już pod grodem wawelskim. U posagu Herowida „boga wojny,“ siedzi Rytygier, czekając na Wandę. Świętosław widział już ją i ostrzega przyjaciela:

..... Biada

Temu, co serce z jej losami związało!
Taka w niej pełnia pogody i chwały,
Ze jej do szczęścia nie trzeba miłości.

Chóry obu stron schodzą się u posagu i śpiewają w strofach i antystrofach; walczą na słowa i tony, nim się złożą mieczami. Giermek, harfciarz niemiecki sławi wojnę:

Wojna duszą świat zapala!
Któż jej wielkie zliczy dzieła?
Bez walk bogów i Walhalla
Nad pułharem-by usnęła.

W następnych strofach drży ironia autorki.

W dalszym ciągu sceny, silnie operowej i jakby proszącej się o muzykę—zjawia się Wanda. Rytygier bierze ją za Walkyrię, zwiastunkę śmierci. Nie, Wanda pokój mu przynosi; a gdy on ujada jak zakochany szaleniec, królowa pięknie wyrzuca mu najazd bez powodu:

Zapracowani, jakby pszczoły w domu,
Jednego ziarnka nie wzięwszy nikomu,
Wiedliśmy zakon nieśmiertelnym miły,
Gdy wódz daleki, czciciel bogów siły,
Spada na kraj mój z żelaznemi pułki,—
Jak jastrząb spada na gniazdo jaskółki,
Ciągnie przez wioski, jako przez niebiosy
Ciągnie złą wróżbą gwiazda krwawo-włosa;
U bram stolicy staje jak zaraza,
Chce mi tron wydrzeć, pierścień dać w zamianę:
Lecz nie ze złota ow pierścień—z żelaza!
Nie—tak nie będzie!

Silnie cieniowana Wanda wzbija się do majestatycznego rozkazu: „Dziś jeszcze odstąp zpod Krakowa;“ ale na to tylko, aby zaraz potem umorzyć w sobie królową i znaleźć się bez tarczy, bez oręża, bez spojrzenia nawet—wobec podwójnego najeźdźcy. Przewrotu tego dokonywa wzrokiem swoim i germańską wiarą w jego potęgę Rytygier. Od tego wzroku Wanda się łamie i odchodzi zamyślona. Na dwadzieścia cztery godziny zawieszenie broni. Piorunna zatrzymuje oddalającego się już Rytygiera; przypomina mu ową noc błogosławioną na Łysej Górze, zapewnia go, że Wanda go kocha.

Wchodzimy do komnaty samotnej Wandy. Poetka wkłada jej w usta krótką odę na temat chwały i miłości. Jest w tej odzie wyrazistość:

Chwała i miłość! Równe w zachwycie,
Ta z wieńcem tamta z gwiazdą na skroni:
Miłość i chwała! Czemuż przez życie
Tak rzadko idą dłoń w dłoń?
Czemu? Niebiosy są zazdrośnemi:
Ktoby, zawiadłszy królestwem losów,
Miłość i chwałę posiadał na ziemi,
Byłby za blizkim niebiosów.

Biedna! sama już widzi, że zapadł nad nią najstraszniejszy wyrok ziemski: „Zapóźno!“

Zapóźno! Chwała w pył się druzgocze.
Przeszłam za blisko strasznej pochodni
Miłość... To miłość! Nadziemskie moce,
Zestąpcie! Broncie mnie od niej.

Zestępują moce przeciwnie: przychodzi Piorunna i podstępnie wyłudza z Wandy obietnicę przybycia na uroczysko dla prześlągania Lela Schadzka o samej północy. Wanda monologuje

a w tym monologu czuć całą głębię jej serca i siłę jej rozumu:

Walcz o własnej siłę,
Wyczerp cuda woli,
I czekaj—choć boli:
Czas goi ran tyle!

Czas! W tem też jest nieszczęście! Ja czekać [nie mogę!

Gdybym miała dni, lata, niby wolną drogę,
Gdzie płynie namysł cichy, gdzie szemrze liść [marzeń,

I uczucia-by zwolna czekały rozwicia.
Tu serce się buntuje pod naciskiem zdarzeń;
Miłość u mnie dojrzewa w dniu swoich narodzin;
Ja-m przeżyła w kilka godzin,
Czem inne żyją pół życia!

Rozum jej mówi, że królowa zakochana już nie jest „królową,“ a miłość szlachetna, wielka, nasuwa jej widzenie niedoli, jakaby przez miłość maluczką, samolubną, na naród sprowadzić mogła. Topór huczy, padają świątynie i święte gaje; dzieci, zapominając mowy ojców swoich, uczą się—czego?—prawa podboju.

Kto przeszłość jeszcze kocha, jak cień chodzą [w tłumie,

Kto dawny obrzęd święci, zamyka się w domu;
Kto dawną piosenkę umie,
Zaśpiewać jej nie ma komu.

A rój słabych i chciwych, jak na żer się złata,
Usidlany w pochlebstwa i złota ponętę
Brat podsłuchuje brata... brat wydaje brata!
I wszystko, co święte,

Staje się przekłete.
Lech wychodzi z mogiły, woła dawnej chwały,
Do serc i do drzwi puka... Nikt sercem nie słucha,
Drzwi zamknięte... I kraj cały
Zapada w poddaństwo ducha.

Monolog ten (akt III, scena IX) jest za długi, przeciążony niepotrzebnymi wrażeniami i myślami, ale znajdują się w nim rysy i błyski tak piękne i silne, że z przyjemnością odczytuje się go raz i drugi. Wyborną jest sama jego procedura psychologiczna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Telektroskop. Spiritus, jako materyał do wyrabiania pary w machinach parowych.

Przy pomocy tej wielkiej siły, zwanej elektrycznością, dokonano już tylu cudów prawdziwych, które z pewnością nie śniły się filozofom, że nowe nadzwyczajne odkrycia przestały już zadziwiać ogół; przyjmujemy je jako rzeczy zupełnie zwyczajne.

Wypada nam dziś wspomnieć o nowym odkryciu na tem polu, które po telefonie, przenoszącym dźwięki na dalekie przestrzenie, nazwać należy jednym z najgenialniejszych odkryć XIX wieku. Mówimy tu o tak nazwanym Telektroskopie, aparacie przenoszącym przy pomocy elektryczności obrazy na daleką przestrzeń. Telektroskop będzie dla organu widzenia tem, czem telefon jest dla organu słuchu.

Wprowadzić istnieją narzędzia pozwalające widzieć na daleką przestrzeń, nazwane teleskopami, lecz patrzenie przez nie odbywać się może jedynie w prostym kierunku i gdy na drodze nie taje żadna nieprzezroczysta przeszkoda. za pośrednictwem telektroskopu można będzie widzieć i pod kątem i przez najgrubsze mury! Z jego pomocą można będzie widzieć osobę, z którą rozmawiamy przez telefon na przestrzeni wielu mil!

Doprawdy, że już tylko elixiru życia pozostało je żądać od elektryczności.

Chociaż nowy ten aparat w chwili obecnej nie może jeszcze zadowolić wszelkich wymagań, to jednak jest zbudowanym na podstawach naukowych i skromniejszym wymaganiom czyni najzupełniej zadosyć. Nie można prawie wątpić, że elektrotechnika w niedługim czasie zdoła niedokładności usunąć i że będziemy się nim posługiwali w najszerszym znaczeniu tego słowa, jak się dziś posługujemy telegrafem, telefonem, koleją elektryczną i t. p.

Telektroskop nie jest wynalazkiem ostatnich dni.

Już w roku 1880 gazety amerykańskie donosiły, że Keriemu z Bostonu udało się odkryć sposób przesyłania za pomocą elektryczności promieni światła, podobnie, jak telefon przesyła dźwięki, i że wynalazek jego został opatentowanym. Wiadomość tę przyjęto z niedowierzaniem, przypuszczano, że jest jedną z często pojawiających się kaczek w dziennikach amerykańskich. Należy sobie jednakże przypomnieć, że cztery lata przedtem wynalazek telefonu przez Bella również był poczytywanym za kaczkę dziennikarską. Dopiero przed kilku miesiącami, gdy pojawił się fotofon Bella, przesyłający dźwięki za pośrednictwem promieni światła, zaczęto na odkrycie telektroskopu zapatrywać się, jako na wynalazek pozytywny.

Pierwszy telektroskop zbudowanym był przy pomocy selenu, dosyć rzadko pojawiającego się w naturze, białego, podobnego do srebra metalu, posiadającego nadzwyczajną czułość na promienie światła i elektryczność, jeżeli te działają na przemiany. Czułość selenu zasada się na tem, że gdy działa nań światło różnego natężenia, metal ten niejednokrotnie się naelektryzuje podobnie przy nasycaniu go z różnych źródeł elektrycznością nabiera rozmaitej własności odbijania promieni świetlnych. W celu zużytkowania tych własności selenu Keri sporządzał zwierciadła składające się z małych kawałków polerowanego selenu, umieszczał takie dwa zwierciadła na pewnej przestrzeni, połączony je przewodami elektrycznymi. Jeżeli wówczas padał na jedno lustro jakiś obraz oświetlony silnym światłem, wówczas i na drugim, chociaż nie zupełnie wierny, powstawał podobny obraz. Na drugim lustrze można było otrzymać obraz ustalony, jeżeli pomieszczono na nim stosownie spreparowany chemicznie papier. Najlepiej wychodziły obrazy, grubo namalowane. Aparat ten Keriego był dosyć skomplikowanym z powodu wielkiej liczby przewodników, i obrazy nie wychodziły dokładnie.

Daleko dokładniejszym okazał się w ostatnich czasach telektroskop zbudowany przez firmę Nipków w Berlinie.

Podamy tu treściwy opis tego aparatu.

Telektroskop albo jeszcze inaczej telefotografem nazwany, składa się z dwóch blaszek, poruszających się przy pomocy elektryczności, nadzwyczaj szybko i równomiernie; z tych jedna znajduje się na stacyi wysyłającej, a druga na odbierającej. Stacje te mogą być odległemi na przestrzeń dowolną pod względem kierunku, lecz ściśle ograniczoną co do przestrzeni. Każda z blaszek opatrzona jest wielką ilością otworów w spiralnych odstępach. Na blaszkę wysyłającą, za pomocą silnie zbierającej promienie światła soczewki (bardzo wypukłe szkło), pada odbicie przedmiotu bardzo silnie oświetlonego np. osoby albo fotografii. Obraz, przechodząc przez spiralnie urządzone otwory poruszającej się bezustannie blaszki, pada w kształcie mozaiki na niezmienne czuły na światło mikrofon i podobnie jak w mikrofonie powstają dźwięki głosowe, tak

i tu promienie świetlane w postaci elektryczności przechodzą do telefonu.

Telefon ten zamiast zwykłej dźwięczącej blaszki opatrzony jest w blaszkę mającą własność odbijania się i kołysania, a znajduje się w odpowiednim oddaleniu od blaszki odbierającej, która zupełnie tak się kołysze, jak przesyłająca, i opatrzona jest podobnemi do niej, spiralnie oddalającymi się od siebie otworami.

Kołysząca się i odbijająca blaszka telefonu oświeca i odbija światło na kołyszącą się blaszkę pomieszczoną w kamerze fotograficznej za szkłem matowem. Na tej tafelce szklanej otrzymuje się przesłany obraz, widoczny i mogący być fotografowanym.

Ponieważ mikrofon wrażliwym jest także, przy pewnych warunkach, i na ciemne ciepłe promienie, skutkiem tego więc mogą być przesyłane, przy pewnych warunkach, i obrazy znajdujące się w ciemności.

Jeżeli mówić w taki mikrofon na stacyi wysyłającej, to telefon stacyi odbierającej zamienia dźwięki głosowe w promienie światła, które dają się fotografować. W ten sposób można za pośrednictwem tego aparatu fotografować dźwięki, a przy pewnej wprawie — i odczytywać je.

* * *

Przed niedawnym czasem panowie Jarro, znani konstruktorzy okrętów, wykonywali próby na Tamizie z łodziami o machinach, których para wyrabia się, nie z wody, jak to ma miejsce we wszystkich machinach parowych, lecz ze spirytusu. Z liczby czterech łodzi, użytych do doświadczenia, 3 miały 30 stóp długości a 6 stóp szerokości, czwarta, cokolwiek mniejsza, poruszana była za pomocą pary wodnej.

Cały przyrząd poruszający składa się z maszyny zwykłego typu i takiegoż kotła. Kocioł wyrabiający parę spirytusową, pomieszczony jest przy samej maszynie i odznacza się wielką lekkością, jest bowiem w porównaniu ze zwykłymi kotłami znacznie mniejszym. Zbudowany jest w kształcie zgiętej rury, przez którą bezustannie przepływa spirytus, który pod działaniem bardzo nieznacznej ciepłoty zamienia się już w parę. Ztąd para przechodząc do cylindra maszyny, porusza tłok zupełnie taksamo, jak to ma miejsce w zwykłych maszynach. Stronę dodatnią podobnej maszyny stanowi to, że ogrzewanie jest znacznie mniej kosztowne (spirytus skroplony może być ponownie użytym), dalej, że jazda może być znacznie szybsza, niema żadnej obawy pęknięcia kotła, a wreszcie łatwiejsze jest utrzymanie czystości. Prawdopodobnie już w niedługim czasie można będzie zastosować spirytus do poruszania większych okrętów morskich.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Dobra Borowno** w powiecie Noworadomskim, własność p. Adama Michalskiego, otrzymała na konkursie wzorowych gospodarstw wiejskich, ustanowionym przez Komisyją wystawy inwentarza — medal złoty.

— **Tygodnik ilustrowany** wyszedł d. 14 b. m. w 1501 numerze. Co do starszeństwa lat wyprzedzają go tylko trzy podobne wydawnictwa: angielskie „Illustration London News,” paryzka „Illustration Universelle” i lipskie „Illustrirte Zeitung.”

— **W salonie Krywulfa** ma być dodatkowo urządzonym oddział sztuki stosowanej, ale w przedmiotach, posiadających rzeczywistą już wartość artystyczną. Postarano się pozyskać dla tego działu prace naszych artystów, przebywających w Paryżu i w Monachium.

— **Zakopane** nie wyszło jeszcze ostatecznie z rąk naszych! Wskutek rekursu do najwyższego trybunału, wyznaczono ponowne rozpatrzenie sprawy, co unieważnia akt sprzedaży Goldfingerowi. Zatem pokazuje się jednak, że złote palce nie wszędzie mogą dosięgnąć. Jako nabywcę wymieniają znowu p. Jerzmanowskiego z Ameryki, który bawi w Zakopanem.

— **Szczałki poległych pod Lipskiem** znaleziono w ogromnej wspólnej mogile pod murami Lipska, 2.000 szkieletów! Z guzików i strzępków mundurów przekonano się, że leżą tu kości wojowników z jednej dywizji francuskiej, z dywizji Henryka Dąbrowskiego i z dwóch korpusów ruskich. Kości te będą przeniesione na cmentarz w Lipsku.

— **Liga narodowa przeciwko ateizmowi** powstała w Paryżu pod honorową prezydencją Juliusza Simona, a faktyczną Franka, członka Instytutu Francuskiego. Już wychodzić poczęło pismo, walczące przeciw ateizmowi i materjalizmowi pod tytułem: „La paix sociale.” W liście do redaktora, Franka, Simon odzywa się gorącymi słowami wiary i nadziei, że prądy materjalizmu tak w nauce, jak w umysłach, przemienią. Nie jest to bynajmniej jakaś nowość — postęp, jak twierdzą wyznawcy tych idei; rzecz jest stara jak świat i przy pierwszych początkach greckiej cywilizacji i filozofii już istniał podział ten w pojęciach, bo zawsze byli ludzie niezdolni wznieść się do ideału i pojąć go. Autor dodaje, że i obecnie nie cała Francja zesłała na ten poziom, dowodzi, że najwyższe umysły wśród Francuzów: Rousseau, Voltaire byli przecież deistami przyjmowali moralność chrześcijańską i w Panteonie Francuskim niema ani jednego ateusza. W rubryce pisma przeznaczona na cytaty, wyjęte z dzieł wielkich myślicieli, umieszczone zostały zdania Voltaire'a i Wiktora Hugo, dowodzące, że pragnęli oni wychowania narodu i wykształcenia umysłów, opartego na religii.

— **Na Wystawie Paryzkiej** będzie dział obejmujący wszystkie ulepszenia w higienie fabrycznej co do zabezpieczenia robotników od wypadków nieszczęśliwych, plany mieszkań wzorowych, ustawy szkół rzemieślniczych, wspólek wzajemnej pomocy i towarzystw dobroczynnych.

— **Hypnotyzm i magnetyzm** były w Izbach Parlamentu Belgijskiego przedmiotem rozpraw i żądania, aby odpowiednio urzędy państwa zajęły się sprawą leczenia i przedstawień publicznych hipnotyzowania i magnetyzowania. Akademia lekarska rzecz też podjęła. Członek jej Dr Maisson oświadczył, że wszelkie posiedzenia i doświadczenia w tym przedmiocie powinny być zakazane, przecież Dr Lefebvre dołączył wniosek, że doświadczenia w tym kierunku, jakkolwiek bardzo niebezpieczne niekiedy dla zdrowia publicznego, mają jednak swoją wielką wagę dla nauki i tylko rząd powinien czuwać nad tem, aby się nie dostały w ręce szarlatanów i wyzyskiwaczy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Pogawędka. — Na krasnym dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — List z Włoch. — Przegląd piśmienniczy, (dalszy ciąg). — **Z działu przyrody**, przez J. S. — **Z bieżącej chwili.** **Dodatek obejmuje:** Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Se-kreta gospodarskie.** — **Dyspozycją stołu.**

Warszawa. — Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 13 Юля 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.